

PUSTELNIK Z KROBI

W dawnych czasach, kiedy miasteczko Krobia było jeszcze wielką wioską, żył w okolicy pewien pustelnik. Stary był, dźwigał na swych barkach już ósmy krzyżyk, a siwa broda spływała mu aż na piersi. Ale trzymał się prosto, jak trzcina, a chodził tak żwawo, jakby miał co najwyżej sześćdziesiąt lat. Mieszkaniem jego była jaskinia, którą sobie sam wybudował w ziemi tuż pod lasem. Otaczał ją wokoło chruściany płot dla osłony od wiatrów jesienią i śniegów zimą. Ludzi się nie obawiał, bo biedny był, a ze zwierzętami leśnymi żył w serdecznej zgodzie.

Największą ozdobą i zarazem jedynym spichrzem pustelni była wyniosła grusza polna rosnąca tuż koło ziemianki. Latem dostarczała cienia, jesienią liści na posłanie, a przez cały rok smacznych owoców, które starzec suszył zazwyczaj w okresie babiego lata, rozwiesiwszy na chruścianym płocie. Jedyną troską pustelnika byli źli chłopcy z sąsiedniego Żychlewa, którzy otrząsali mu latem niedojrzałe gruszki, tak że często brakło mu ich i zimą głodem przymierał. Nic też dziwnego, że gruszy swej strzegł niczym źrenicy oka.

Pewnego wrześnieowego dnia zawitał do pustelni staruszek, co najmniej ze dwadzieścia lat starszy od gospodarza i poprosił o nocleg. Pustelnik przyjął go serdecznie, poczęstował plackiem owsianym i kozim mlekiem, a potem usłał mu w ziemiance świeże posłanie z suchych liści, mchów i wonnych, kwitnących wrzosów. Nazajutrz staruszek wstał o świcie, a przywdziawszy na się sakwy podróżne, tak ozwał się do pustelnika:

– Dziękuję ci, dobry człowieku, za nocleg i gościnność, a jeśli masz jakąś prośbę czy życzenie, wymień je, a będzie spełnione.

– Pustelnikiem jestem – ozwał się na to gospodarz – i niewielkie są moje potrzeby na tym świecie. – I żadna troska nie chmurzy dni twoich w tej pustelni? Zadumał się na to pustelnik i tak rzecze na to po chwili:

– Już ci, mam jedną taką troskę. Chłopcy ze wsi pobliskiej włazą o świcie na moją dziką gruszę i zrywają z niej dla psoty owoce. Myślałem sobie nieraz, że gdyby ta grusza miała taką cudowną moc, iż kto na nią wejdzie, zleźć z niej nie może bez mojego pozwolenia, odczyłybym urwistów zrywania cudzych owoców.

– Spełni się twe życzenie – ozwał się staruszek i pożegnawszy gospodarza znikł za chwilę na leśnej drodze.

Patrząc za odchodzącym, pustelnik spostrzegł wokół niego wielką jasność. Zdumiony zapytywał sam siebie, kto by to mógł być? A nie wiedział, że był to sam Pan Bóg. Na drugi dzień pustelnik wyszedł jak zwykle o świcie przed swoją ziemiankę i spojrzał na gruszę, a tam Wojtek i Kuba z Żychlewa siedzą już na drzewie i obrywają co najzłoćiejsze ulęgałki.

– Teraz mi już, kochasie, nie zleziecie bez mego zezwolenia! – zawołał do nich pustelnik, chciał się bowiem przekonać, czy spełni się obietnica nieznanego staruszka. Chłopcy na to roześmiali się wesoło i z figłów zaczęli obrzucać pustelnika ulęgałkami. Ale minęła godzina jedna, druga i trzecia, a urwisy widzą, że rzeczywiście nie mogą zejść z drzewa. Gałęzie trzymają ich jak w kleszczach, że ani rusz ni w lewo, ni w prawo. Strach ich ogarnął wielki, więc spokornieli i nuż prosić pustelnika:

– Darujcie, dziadku! Już więcej na gruszki wasze przychodzić nie będziemy. Ino zwolnijcie już nas z tej zaczarowanej gruszy.

– Sprawiedliwie przyrzekł mi ów staruszek – pomyślał sobie pustelnik, a przytrzymał Kubę i Wojtkę jeszcze do południa, zwolnił ich wreszcie.

– Pozwalam wam już zejść. Ale rozpowiedźcie we wsi swoim kompanom, by mi tu na szkody nie przychodzili, bo przytrzymam którego na gruszy aż do pierwszych mrozów.

Chłopcy jak niepyszni zleźli z gruszy i rozprostowali zdrętwiałe członki. Potem podeszli z czią wielką do pustelnika i ucałowawszy go w rękę, wysypali na murawę wszystkie ulęgałki, które

mieli w kieszeniach i w zanadrzu. Wreszcie skłoniwszy się gospodarzowi czapkami aż do samej ziemi, wzięli nogi za pas tak gorliwie, że tylko tuman kurzu pozostał po nich na drodze do Żychlewa.

Od tego dnia żaden z chłopaków wiejskich nie odważył się zakraść po ulęgałki, a włościanie okoliczni, dowiedziawszy się o czarodziejskiej gruszy, której moc przypisywali pustelnikowi, zaczęli do niego przychodzić po rady przeróżne i leki, przynosząc z sobą to kukiełkę, to osełkę masła, a niekiedy i kurę nawet.

I żył sobie pustelnik z Krobi jak u Pana Boga za piecem, a nic mu do szczęścia nie brakowało. Tak dożył równych stu lat.

Któregoś pięknego październikowego dnia, kiedy to przedzie babiego lata snuły się wokół po tarniach i ścierniskach, a powietrze było tak przejrzyste, że człowiekowi się zdawało, iż wyteżywszy oczy -- samego Boga dojrzy wśród niebios, siedział pustelnik na ławie przed ziemianką i z lubością wygrzewał na słońku swoje stare kości. Wtedy właśnie przysła do niego śmierć. Zbliżyła się niespodziewanie i trąciła go kosturem w nogę:

– Nażyłeś się już dosyć, czas już zrobić miejsce dla innych. Pójdź kumie ze mną! Wzdrygnął się pustelnik, a rozejrzawszy się po szerokim, pięknym świecie, zapragnął żyć. Więc zwrócił się do śmierci i prosi:

– Zlituj się, Kostusiu i daruj mi jaki jeden roczek, chciałbym sobie jeszcze trochę pożyć, bo dobrze mi jest na świecie.

– Nic z tego, kumie, nie tylko roku, ale i dzionka całego już nie dostaniesz. Musisz iść ze mną w te pędy na łono Abrahamowe. Uśmiechnął się pustelnik chytrze i rzecze:

– Ha, kiedy już taka wola Boża, to trudno. Zrób mi jednak, Kostuś, przysługę, wleź na tę oto gruszę i przynieś mi kilka ulęgałek. Niech se jeszcze za życia pojem krztynę.

– To mi wolno uczynić, więc ci nie odmawiam – powiedziała śmierć i wsparła swą kosę o pień drzewa, a sama wlała na gruszę. Pustelnik tylko na to czekał.

– A teraz, Kostuś, siedź sobie tak długo póki cię nie zawołam. To rzekłszy zabrał kosę śmiercionośną i wrócił do siebie.

W całej Wielkiej Polsce nastały odtąd złote czasy: nie było ani wojny, ani morowego powietrza, a ludzie żyli strasznie długo i nie umierali. Dziwili się ludziska z tego powodu, ale nikt nie wiedział, że to jest zasługa pustelnika z Krobi, który uwięził śmierć na gruszy.

A on sam tymczasem uciułał nieco grosza i kazał sobie zbudować piękną chatę, a w niej wygodny zapiecek, gdzie zimą najchętniej przesiadywał. Latem wygrzewał się na słońku i tak dożył w zdrowiu i szczęściu lat stu trzydziestu.

Wreszcie sprzykrzyło mu się życie. Poszedł więc pod zaczarowaną gruszę i uwolnił uwięzioną śmierć. Ona jednak, mszcząc się na nim za podstęp, nie uśmierciła go, lecz poszła sobie w świat.

I pustelnik żyje dotąd, ale nie wie, co ze swym życiem ma począć, więc wędruje po świecie i szuka śmierci, by go zabrała.